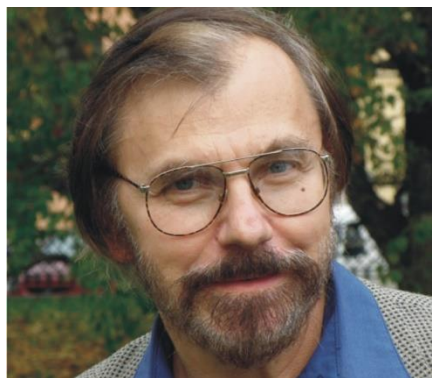


Listy do Pani A. (207)



Fot. Andrzej Dębowski

Podróż na jeden śrubokręt

Droga Pani!

Choć jesień w pełni, to jednak z sentymentem i tak zwaną łezką w oku wspomina się lato, ten miły czas wakacyjny, choć tegoroczne miesiące letnie nas nie rozpieszczały. Byłem, jak już chyba Pani wspominałem, na Mazurach. Pojechałem, oczywiście, samochodem, bo nie chciałem sobie odmawiać przyjemności prowadzenia. Zawsze się to jednak łączy z dreszczykiem niepokoju – jak będzie, czy szczęśliwie dojadę, czy samochód nie nawali po drodze.

Tym razem obeszło się bez dramatycznych przygód, co nie znaczy, że nie było sytuacji co najmniej emocjonujących. Otóż zapakowałem kłopoty do bagażnika, ruszyłem z parkingu do miejsca, w którym zwykle zawracam, aby ustawić się w kierunku wyjazdu. W pewnym momencie silnik zgąsz, chciałem więc odpalić na nowo, jak zwykle to robiłem. Tymczasem kluczyk ani drgnął, nie dał się przekręcić ani w prawo, ani w lewo, kontrolki się zaświeciły, nie było możliwości wyłączenia stacyjki. Na szczęście dosyć blisko jest zaprzyjaźniony warsztat, do którego w te pędy pobiegłem, obawiając się przez cały czas, że niewyłączony zapłon wyczerpie akumulator. Życzliwy pan mechanik przyjechał i zabrał podłóżkę merivę do warsztatu. Okazało się, że rozpadła się stacyjka. Zaczęło lamentować, że mam jechać, że wakacje, że plany... W końcu mechanik wymontował część stacyjki na zewnątrz. Oczywiście o uruchomieniu silnika kluczykiem nie było mowy. Teraz trzeba było tę część odpowiedzialną za zapłon poruszyć... śrubokrętem. Wszystko zadziało. I tak przez całe wakacje jeździłem „na śrubokręt”, ku wesołości rodziny i znajomych.

Nie było to wygodne, bo trzeba było poszukać części dyndającej na kabelkach i posłużyć się odpowiednio rzeczonym śrubokrętem. Raz na ruchliwym rondzie silnik mi zgąsz. Zanim w stresie drżącymi rękami i klnąc pod nosem udało mi się uruchomić go na nowo, utworzyła się kolejka aut, niemal do samej

Warszawy... Ale trzeba przyjąć na klątę motorystyczne blaski i cienie.

Ale to jeszcze nie koniec. Jadę sobie, nawigacja mnie prowadzi, mam nastawioną na Otwock. A tu dzwoni córka i mówi, abym jechał do Radości, bo ona już wyszła z pracy. Zapewniłem ją, że wiem jak mam jechać. W pewnym momencie nawigacja odzywa się „zjedź w prawo”. To machinalnie zjechałem, i ponieważ zorientowałem się, że jednak niepotrzebnie jadę na Otwock. Chciałem zawrócić, i wtedy kompletnie się pogubiłem. Dzwonię więc do Małgosi, a ona z trudem wyprowadziła mnie z labiryntu na podstawie moich informacji gdzie aktualnie się znajduje. Udało się.

Podobnie było na Mazurach, niedaleko punktu docelowego. Rozłądował się telefon, a co za tym idzie padła i nawigacja. I co? Znowu któryś raz z rzędu po pomoc do Małgosi. Wszystkich rozbawiało to moje pogubienie. Wracając z Mazur pomyślałem sobie, że żartuję „w tym temacie” – jak to się dziś pięknie mówi. Podjechałem bez przeszkód pod docelowy dom, zaparkowałem i zadzwoniłem do Małgosi, która była w pracy. Mówię: „koniecznie musisz przyjechać, rzuć robotę, nie wiem kompletnie gdzie jestem”. Pyta mnie o jakieś topograficzne szczegóły. Relacjonuję udając podenerwowanie: „kompletnie zabłądziłem, stoję przy jakimś zielonym domu, za ogrodzeniem biega piesek, czarny, podpalany w typie polskiego gończego”. I tu już salwa śmiechu. I ulga, że ona nie musi jechać i mnie szukać, a ja, że kawał się udał. I tak na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

Trochę wesołości, nieco zdenerwowania; stacyjka już naprawiona, tylko wakacji szkoda, że tak szybko upłynęły. Ale trzeba wracać do codzienności. Zastałem na biurku dwa tomiki Urszuli Gierszon, poważne, inspirowane szeregiem doświadczeń osobistych, często bardzo intymnych, które tylko poeta potrafi wyrazić posługując się odpowiednio zuniwersalizowaną, ekspresyjną metaforą. Poezja Gierszon jest perfekcyjna. To nie sucha narracja. Jej wiersze są głęboko nasycone emocjami.

Wrażliwość na barwy, dźwięki, na całą naturę, stanowi ważny pierwiastek tych poetyckich komunikatów. Obecna niemal w każdym utworze kontestacja dopełnia ich ładunek emocjonalny; stanowi pewnego rodzaju „równoważnik” sprzyjający, obiektywizmowi poetyckich obrazów, które nadal zachowują swoją oryginalność i niepowtarzalność.

Pewien bunt wobec rzeczywistości nie jest oderwany tutaj od osobistych kontekstów. To prawda, że owa rzeczywistość bywa bardzo nieprzyjemna. Często niezrozumiała, pełna zagrożeń, jakże daleko odbiegająca od tej sprzed dwudziestu, trzydziestu lat, w której – przynajmniej z dzisiejszego punktu widzenia – czuliśmy się bardziej bezpiecznie, a nawet... komfortowo. Tak. Świat był inny, a teraz zmienia się szybko i diametralnie. W tej mierze poezja jest czułym sejsmografem reagującym na wszelkie wstrząsy artystyczne, obyczajowe, psychologiczne. Oczywiście, zależy to od wrażliwości twórców. Jednak owa wrażliwość nie obchodzi czytelnika. On

obcuje przede wszystkim z dziełem, i tam szuka potwierdzeń własnych doznań, wzruszeń, lęków, fobii. Przecież poezja nie tylko rejestruje, ale często żywi się owymi niepokojami, które stanowią istotne źródło inspiracji. Tak to bywa w twórczości Urszuli Gierszon. Proszę koniecznie z nią się zapoznać.

Tymczasem Waldemar Michalski, wybitny poeta mieszkający w Lublinie zrobił mi niespodziankę i przesłał mi swój „Mały tryptyk roztoczański.” Jest to drugie, rozszerzone wydanie „Małego tryptyku...”, którego pierwsze ukazało się w 2020 roku.

Te wiersze są głęboko zanurzone w regionalnej kulturze, pejzażu, folklorze; przywołują ludzi, którzy tam mieszkali, działali, swoją aktywnością odcisnęli swe piętno na historii ale i na współczesności tej przepięknej, wzruszającej krainy; którzy wpłynęli i wpływają na tamtejszy klimat, na kulturę, na sposób życia. Liryka Michalskiego, to właśnie wędrówka po olbrzymich obszarach opisywanej ziemi; po wsiach, miasteczkach, przysiółkach, leśnych ostępach. Barwna, ekspresyjna, pełna rozmaitych zauważeń, nasycona rozmowami, obecnością ludzi, odkrywająca – chciałoby się powiedzieć – duszę Roztocza. Ale nie tylko owa topografia jest tutaj ważna, choć przecież odgrywa niebagatelną rolę, jest bowiem zapisem ginącego świata, który usiłuje utrwalić i przeciwstawić się napierającej nań współczesności. I nie chodzi tu o tak zwane „zdobycze cywilizacyjne”, ale o pewien nieuchwytny etos, o swoiste postrzeganie takich wartości, jak uczciwość, rzetelność, gościnność, prawość.

Pomimo topograficznych szczegółów nie można tego tomiku traktować jako bedekera. To coś znacznie więcej; to najczystsza liryka, bardzo emocjonalna, głęboka, nie trzeba dodawać, że niezwykle precyzyjna. Poszerzenie całości o nowsze wiersze znakomicie wzbogaca zbiór tych świetnych wierszy. Na pewno się Pani zachwyci i zechce może tę osobliwą, piękną krainę odwiedzić.

Powtórzę Pani: piękną krainę, która w dużej mierze zachowała swój dawny klimat, wbrew temu co teraz się dzieje. Czytam oto, że pewien proboszcz zamordował człowieka. Zadał mu ciosy siekierą, a potem go podpalił. To się w pale nie mieści. Dobrze, że nie wszystkich księży takich mamy. Świat wyrodnieje na naszych oczach.

A poeci odchodzą. Ostatnio przeżywałś śmierć Urszuli Kozioł. Poznaliśmy ją z Anią na spotkaniach we wrocławskim Domu Literatury. Znakomita poetka, młodzi jakoś nie dorównują. A może to tylko wrażenie starszego pana?

Serdecznie Panią pozdrawiam i życzę miłych, iście roztoczańskich chwil –

Stefan Jurkowski

